



The Holy See

MSZA ŚW. I KANONIZACJA

BŁ. MARII ANTONII OD ŚW. JÓZEFA DE PAZ Y FIGUEROA

HOMILIA OJCA ŚWIĘTEGO FRANCISZKA

Bazylika Świętego Piotra

VI Niedziela Zwykła, 11 lutego 2024 r.

[Multimedia]

Pierwsze czytanie (por. *Kpł* 13, 1-2; 45-46) i Ewangelia (por. *Mk* 1, 40-45) mówią o trądzie: chorobie, która pociąga za sobą postępujące wyniszczenie fizyczne człowieka, i z którą, niestety, w niektórych miejscach nadal często kojarzone są postawy marginalizacji. Trąd i marginalizacja: to dwa nieszczęścia, od których Jezus chce uwolnić człowieka, którego spotyka w Ewangelii. Przyjrzyjmy się jego sytuacji.

Ów trędowaty jest zmuszony do życia poza miastem. Kruchy ze względu na swoją chorobę, zamiast otrzymać pomoc od swoich współobywateli, jest pozostawiony samemu sobie, co więcej jest jeszcze bardziej zraniony przez wyobcowanie i odrzucenie. Dlaczego? Ze strachu, przede wszystkim strachu przed zarażeniem i skończeniem tak jak on: „Niech nam się to też nie przydarzy! Nie ryzykujmy, trzymajmy się z daleka!”. Strach. Następnie z powodu uprzedzenia: „Jeśli ma tak straszną chorobę – była to powszechna opinia – to na pewno dlatego, że Bóg karze go za jakąś winę, którą popełnił, a więc jeśli na to zasłużył, to dobrze mu tak!”. To jest uprzedzenie. I wreszcie fałszywa religijność: w tamtych czasach wierzano, że dotknięcie zmarłego czyni człowieka nieczystym, a trędowaci byli ludźmi, których ciało „umierało na nich”. Tak więc – jak sądzono – dotknięcie ich oznaczało stanie się nieczystym, tak jak oni: oto wypaczona religijność, która wznosi bariery i tłumi pobożność.

Strach, uprzedzenia i fałszywa religijność: oto trzy przyczyny wielkiej niesprawiedliwości, trzy „trądy duszy”, które sprawiają, że słaby cierpi, odrzucając go jak jakiegoś śmiecia. Bracia, siostry,

nie myślimy, że to tylko sprawy z przeszłości. Jak wielu cierpiących ludzi spotykamy na ulicach naszych miast! I jakże wiele lęków, uprzedzeń i niekonsekwencji, nawet wśród tych, którzy wierzą i deklarują się, że są chrześcijanami, nadal rani ich jeszcze bardziej! Także w naszych czasach jest tak wiele marginalizacji, są bariery do przełamania, „trądy” do wyleczenia. Ale jak? Jak możemy to zrobić? Co czyni Jezus?. Jezus wykonuje dwa gesty: dotyka i uzdrowia.

Pierwszy gest: *dotyk*. Jezus, słysząc wołanie człowieka o pomoc (por. w. 40), odczuwa współczucie, zatrzymuje się, wyciąga rękę i dotyka go (por. w. 41), chociaż wiedział, że czyniąc to, to on z kolei stanie się „odrzuconym”. Rzeczywiście, paradoksalnie role się odwróca: chory, gdy zostanie uzdrowiony, będzie mógł udać się do kapłanów i zostać ponownie przyjęty do wspólnoty. Natomiast Jezus nie będzie już mógł wejść do żadnego miasta (por. w. 45). Pan mógł więc uniknąć dotknięcia tej osoby, wystarczyłoby „uzdrowić ją na odległość”. Ale Chrystus taki nie jest, Jego droga jest drogą miłości, która zbliża się do tych, którzy cierpią, która wchodzi w kontakt, która dotyka ich ran. Bliskość Boga. Jezus jest blisko, Bóg jest blisko. Nasz Bóg, drodzy bracia i siostry, nie pozostał oddalony w niebie, ale w Jezusie stał się człowiekiem, aby dotknąć naszego ubóstwa. I w obliczu najgroźniejszego „trądu”, jakim jest grzech, nie zawahał się umrzeć na krzyżu, poza murami miasta, odrzucony jako grzesznik, niczym trędowaty, aby dotknąć do głębi naszej ludzkiej rzeczywistości. Pewien święty napisał: „Stał się trędowaty dla nas”.

A my, którzy kochamy i naśladujemy Jezusa, czy potrafimy przyswoić sobie Jego „dotyk”? Nie jest to łatwe i musimy czuwać, gdy w naszych sercach pojawiają się odruchy, które są sprzeczne z Jego „stawaniem się bliskim” i Jego „stawaniem się darem”: na przykład, gdy oddalamy się od innych, aby myśleć o sobie, gdy sprowadzamy świat do murów naszego „dobrego samopoczucia”, gdy wierzymy, że problemem są zawsze i tylko inni... W takich przypadkach uważajmy, ponieważ diagnoza jest jasna, jest to „trąd duszy”: choroba, która czyni nas niewrażliwymi na miłość, na współczucie, która niszczy nas przez „gangrenę” egoizmu, uprzedzeń, obojętności i nietolerancji. Bądźmy również uważni, bracia i siostry, ponieważ, podobnie jak w przypadku pierwszych plam trądu, które pojawiają się na skórze w początkowej fazie choroby, jeśli nie zadziałamy natychmiast, infekcja rośnie i staje się niszczycielska. W obliczu tego ryzyka, możliwości wystąpienia tej choroby naszej duszy, jakie jest lekarstwo?

Z pomocą przychodzi nam drugi gest Jezusa, który *uzdrowia* (por. w. 42). Jego „dotknięcie” wskazuje bowiem nie tylko na bliskość, ale jest początkiem uzdrowienia. A bliskość jest stylem Boga: Bóg jest zawsze blisko, współczujący i czuły. Bliskość, współczucie i czułość. To jest styl Boga. Czy jesteśmy na to otwarci? Jeśli pozwalamy dotknąć się Jezusowi, odzyskujemy zdrowie wewnątrz, w naszych sercach. Jeśli pozwalamy się Jemu dotknąć na modlitwie, podczas adoracji, jeśli pozwolimy Jemu działać w nas poprzez Jego Słowo i sakramenty, to kontakt z Nim naprawdę nas zmienia, uzdrowia nas z grzechu, uwalnia nas od zamknięcia, przemienia nas ponad to, co możemy uczynić sami, naszymi własnymi wysiłkami. Nasze zranienia – i rany serca i rany naszej duszy – choroby duszy, muszą być przyniesione do Jezusa: to czyni modlitwa. Ale nie abstrakcyjna modlitwa, składająca się tylko z powtarzanych formuł, ale szczera i żywa modlitwa,

która kładzie u stóp Chrystusa nasze nędze, słabości, fałsze, lęki. Zastanówmy się i zadajmy sobie pytanie: czy pozwalam Jezusowi dotknąć moich „trądów”, aby mógł mnie uzdrowić?

Z „dotknięciem” Jezusa odradza się bowiem to, co w nas najlepsze: regenerują się tkanki serca; wznawia się przepływ nasyconej miłością krwi naszych twórczych dążeń; rany dawnych błędów zostają uleczone, a skóra relacji odzyskuje zdrową i naturalną gładkość. W ten sposób powraca piękno, które mamy, piękno, którym jesteśmy; piękno bycia umiłowanymi przez Chrystusa, na nowo odkrywamy radość dawania siebie innym, bez lęków i bez uprzedzeń, wolni od form religijności znieczulających i pozbawionych wrażliwości na słabości brata; nasza zdolność do miłowania odzyskuje siłę, poza wszelką kalkulacją i wygodnictwem.

Wtedy, jak mówi piękna karta Pisma Świętego (por. *Ez 37, 1-14*), z tego, co wydawało się doliną uschłych kości, powstają żywe ciała i odradza się lud zbawionych, wspólnota braci i siostr. Ale zwodnicze byłoby myślenie, że ten cud, aby się spełnił, wymaga wielkich i spektakularnych form. Dokonuje się on przede wszystkim w ukrytej miłości każdego dnia: tej, którą żyje się w rodzinie, w pracy, w parafii i w szkole; na ulicy, w biurach i sklepach; tej, która nie szuka rozgłosu i nie potrzebuje poklasku, ponieważ miłości wystarcza miłość (por. św. Augustyn, *Enarr. in Ps. 118, 8, 3*). Jezus podkreśla to dzisiaj, kiedy nakazuje uzdrowionemu człowiekowi „nikomu nic nie mówić” (w. 44): bliskość i dyskrecja. Bracia i siostry, Bóg kocha nas w ten sposób i jeśli pozwolimy się dotknąć przez Niego, my również, mocą Jego Ducha, możemy stać się świadkami miłości, która zbawia!

A dziś myślimy o Marii Antonii od św. Józefa, „Mamie Antuli”. Była wędrowcem Ducha. Pokonała pieszo tysiące kilometrów, przez pustynie i niebezpieczne drogi, aby nieść Boga. Dziś jest dla nas wzorem apostoelskiej gorliwości i odwagi. Kiedy jezuici zostali wypędzeni, Duch Święty rozpalił w niej płomień misyjny oparty na zaufaniu Opatrzności i wytrwałości. Wzywała wstawiennictwa św. Józefa i, aby go zbyt nie męczyć, św. Kajetana z Thieny. Z tego powodu wprowadziła nabożeństwo do tego ostatniego, a jego pierwszy wizerunek przybył do Buenos Aires w XVIII wieku. Dzięki Mamie Antuli ten święty, orędownik Bożej Opatrzności, dotarł do domów, dzielnic, środków transportu, sklepów, fabryk i serc, aby ofiarować godne życie poprzez pracę, sprawiedliwość i chleb powszedni na stole ubogich. Prośmy dziś Marię Antonię, św. Marię Antonię de Paz od św. Józefa, aby nam bardzo pomagała. Niech Pan błogosławi nas wszystkich.